

Paulina Paprocka

სედირა



W DRODZE.
#matkaicorka

PAULINA PAPROCKA

W DRODZE

#matkaicorka

Redakcja

ELŻBIETA KUSZMIDER

Korekta

KATARZYNA KRZAN

Okładka

ZOFIA STYBOR

Skład

KATARZYNA KRZAN

Druk i oprawa

Bookpress.eu

Copyright © by Paulina Paprocka 2026

Copyright © for this edition by

Wydawnictwo Seqoja 2026

ISBN druk: 978-83-67935-64-7

ISBN e-book: 978-83-67935-66-1

Wydawnictwo Seqoja

ul. Żołnierska 11B/20, 10-558 Olsztyn

tel. 534 834 852

e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl

www.seqojawydawnictwo.pl

*I kiedy czegoś gorąco pragniesz,
to cały Wszechświat sprzyja
potajemnie twojemu pragnieniu.*
Paulo Coelho „Alchemik”

Fortes fortuna adiuvat.
Terencjusz

*Marzyć trzeba dokładnie
– parafraza słów Wisławy Szymborskiej:
Marzymy, ale jak niedbale, jak niedokładnie!*

Ten rok miał być inny. Podróżniczo inny. To znaczy niby nie miał, ale tak wyszło. Nie taką inność miałam na myśli, jaka nam się trafiła... Tak naprawdę chciałam zmiany kierunku podróży, z sielskich i ciepłych Włoch na klify północy. Żeby mnie wytarmosiło, wyszudrało, no i oczywiście miała mi się jeszcze przydarzyć jakaś romantyczna historia. Nie planowałam ani jednej plaży, tylko urwiska, dzikie fale, przestrzenie, wichry. I wrzosowiska.

Chciałam się zakochać. Chciałam oszaleć tak, żeby rzucić wszystko i gnać do niego w środku nocy – albo w dzień, ale za to na drugi koniec Polski lub nawet Europy – żeby koniecznie i natychmiast być razem. Najlepiej właśnie na urwisku, ale krajobraz aż taki ważny nie był. Choćby na dzień. I żeby on też tak samo oszalał. I żeby nie myśleć o tym, że to głupie, niepoważne, nierozsądne. I że nie ma racji bytu. I żeby trwało trochę, a potem się rozpadło, bo przecież nie miało racji bytu, było niepoważne i nierozsądne. I niech mnie boli, ale niech mi będzie dane takie szaleństwo przeżyć. Bo czasu coraz mniej. Albo (a najlepiej oraz) chciałam mieć młodego kochanka. I to już zupełnie bez sensu, bo wiadomo, że takie rzeczy zdarzają się raz na milion lat, a jeśli już się zdarzą, to nie działają. Ale marzyć można. Żeby tak chociaż na chwilę. Tak sobie wymyśliłam. No i wiecie, co? Nic z tego się nie stało. Nic. Może dlatego, że obrazki i afirmacje,

które wklejałam na mapie marzeń w prostokącie miłości były stare, nieco wytarte i wyświechtane oraz – niestety – nie do końca moje ani upragnione zdjęcie potencjalnego „jego” znalazła dla mnie przyjaciółka, a ja pomyślałam, że skoro nie mam lepszego pomysłu to może to zadziała... No i w końcu może dlatego, że serce, które narysowałam, wyglądało raczej jak na obrazkach świętych z aureolą, a nie w romansach. Nic tam do siebie nie pasowało. Nie znalazłam miłości, więc zaczęłam jeździć. Pomyślałam, że skoro nie mam kochanka, który trzymałby mnie na miejscu, albo do którego gnałabym na złamanie karku, to chcę innych doznań. Będę jeździć w miejsca, które poruszą mnie gdzieś głęboko – w sercu lub w głowie. Mocne emocje kierowane do świata i natury, zamiast do drugiego człowieka. Kto wie, może zadziała. A serca na pewno nie złamię.

Druga zasada na ten rok – miało być tanio. Albo przynajmniej budżetowo. Planując tegoroczne podróże brałam pod uwagę, skąd wezmę na nie pieniądze. Założyłam, że moje regularne dochody pokryją przynajmniej część kosztów, a w trakcie, jak to zwykle bywało, trafi się fucha czy dwie. Jak co roku miałam też wielką nadzieję, że za podróże Miki zapłaci jej ojciec. No i miałam jeszcze trochę zaskórniaków z tego, co zostawił mi tata, ale primo: wiele tego nie było, secundo: wolałabym tych pieniędzy nie ruszać. Jednak sama myśl o nich daje poczucie bezpieczeństwa. Moje plany były dość zuchwałe, ale przecież jeśli marzyć, to z rozmachem. Ostatecznie zawsze mogłam z czegoś zrezygnować, jeśli nie miałabym innego wyjścia. Jak dotąd nie musiałam, wszechświat mi sprzyjał. Jak się później okazało, rzeczywiście wybrałam się na północ, a tam tanio

podróżować się nie da. Islandia, Wyspy Owcze, Norwegia – równa się brutalnie oskubane konto, choć naprawdę szukałam złotego środka. Ale i tak było warto.

Wyklejając mapę marzeń na nadchodzący rok, część podróży miałam już zaplanowaną, bilety wykupione, ale też była sfera marzeń, zwizualizowana w postaci powycinanych z kolorowych gazet obrazków. Naprawdę nie miałam pojęcia, jak może mi się zdarzyć Tajlandia, Bali czy Malediwy. Oprócz konkretnych nazw na mapie było też zdjęcie turkusowej wody i palm, żeby łatwiej było marzyć. Niektóre miejsca były pobożnym życzeniem, a jeszcze inny kawałek opowiadał o tym, co chciałabym, ale nie wiem jeszcze, kiedy.

Potem przez jakiś czas randkowałam z chłopakiem, z którym często i dużo rozmawiałam o podróżach, życiu, zabezpieczeniach na przyszłość, oszczędzaniu, emeryturach – takich właściwie wzajemnie wykluczających się sprawach (swoją drogą co za pomysł na randki?!). Któregoś razu nad winem wspomniałam, że chętnie podjęłabym dodatkową pracę, żeby dzięki niej zapłacić na bilety lotnicze w jakieś egzotyczne miejsce... I on powiedział, że nigdy wcześniej nie słyszał czegoś równie szalonego, bo jak można, nie mając oszczędności, wydawać zarobione pieniądze na bilety? A jednak tak właśnie się stało: nie minęło wiele czasu, propozycja dorywczej pracy nadeszła, a ja opłacałam podróż do Meksyku dla siebie i Miki. Przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym zrobić inaczej. Na koncie hula wiatr, ale przecież kiedy, jeśli nie teraz? A z chłopakiem przestałam się umawiać. Jednak okazało się, że nie było nam po drodze.

ZMIANA

Od dwóch tygodni coś jest nie tak. Najpierw myślałam, że to grypa i zaraziłam się od Miki. I pewnie tak było. Tylko że jej minęło, a mnie zostało. Puchnie mi oko, bolą migdałki. Taki wędrujący ból, raz po jednej, raz po drugiej stronie. Bolą też uszy, noszę w nich watę z maścią rozgrzewającą. Kiedy trochę przestaje, to wcale nie warto wierzyć, że jest lepiej, bo ból wróci. Mocniejszy lub słabszy, tu lub tam. Wróci.

Kiedy się nad tym zastanawiam, to widzę, że zaczęło się już dawno, prawie rok temu. Albo i więcej. I to wcale nie przeziębieniem ani infekcją. Zaczęło się od choroby duszy. Bo przecież to zawsze zaczyna się od środka. Od głowy lub serca. Albo właśnie od duszy. I czułam, że coś jest nie tak. Jakieś sprawy potrzebowałam poukładać, przemyśleć.

Na początku pojawił się pomysł na babskie podróżowanie. Pomysł ewoluował i rósł w siłę. I było dobrze, wszystko szło od serca, emocjami, na spontanie. Bez wysiłku. Lekko. Radośnie.

A potem okazało się, że system nie pozwoli działać tak radośnie i lekko i że trzeba struktury, formy, papierów, pozwoleń, terminów. Umów, zasad, regulaminów. Dat, deadline'ów, rozliczeń, hierarchii. Księgowych i prawników. Oraz że albo tak, albo wcale. I myślę, że właśnie wtedy moja dusza zaczęła skowyczeć. Bo ja całe życie otwierałam

i zamykałam biznesy. Uczylałam się różnych rzeczy. Budowałam, rozwijałam, prowadziłam. Niektóre z dużym sukcesem, niektóre z mniejszym. Niektóre zamykałam, inne padały, a niektóre funkcjonowały. Jedno wiem na pewno – nie chcę być zamknięta w sztywnych ramach, zależeć od świstków, pieczętek, regulaminów i urzędników, choćby byli nie wiem jak mili. Ten etap mam za sobą. Taka odpowiedzialność mnie męczy. Organizacja wysysa energię. Potrzebuję wolności i łatwości.

Gdzieś po drodze szukałam, skąd się to u mnie wzięło. Ta potrzeba wyjścia z ram, z zasad, pójście własną drogą. Myślałam, że może z samotności, bo ona daje więcej możliwości wyboru. Chociaż z drugiej strony chciałam mieć kogoś do siedzenia na kanapie, do przytulania w niedzielny poranek, południe czy wieczór. Tak, żeby było miło. I może dusza lka, bo czasu mało i co, jeśli ja już do końca kogoś takiego nie znajdę? Co, jeśli do końca będę na tej kanapie (co prawda nie mam kanapy), w te niedziele (w sumie rzadko ostatnio bywam w domu), siedziała sama (tak naprawdę to lubię siedzieć sama z książką). Z drugiej strony czuję, że gdyby ktoś mi te niedziele zajmował, to prędzej czy później zaczęłabym uciekać, ale przynajmniej to byłaby moja decyzja. Toczyła się we mnie jakaś potężna walka wewnętrzna, sprzeczności kotłowały: razem kontra solo, kanapa kontra podróż, związek kontra wolność. Kiedyś przecież miałam już tę kanapę i uciekłam z niej na własne życzenie. Dobrze pamiętam dlaczego, skąd więc wzięła się ta chęć, żeby spróbować ponownie?

A potem na kilku spotkaniach terapeutycznych okazało się, że nie tylko czuję opór wobec zamykania się w sztywnych ramach organizacji, ale i romantyczne weekendy na kanapie w praktyce szybko by mi się znudziły – z podobnych powodów. Nie udało mi się ustalić co chciałabym w zamian, ale wierzyłam, że to się wkrótce samo objawi.

Apotem zdarzyła mi się przyгода z ayahuascą¹, która otworzyła przede mną inny poziom świadomości i percepcji. Niesamowita substancja, która uwalnia odczucia i doświadczenia z wymiaru, którego istnienia nie podejrzewałam, bo i skąd?

Okazało się, że nic nie jest takie, jakie się wydaje – można widzieć, słyszeć i czuć więcej. Właściwie nie wiadomo, czy to co widzimy, jest tym samym, co nas otacza, czy tylko pewną symulacją naszego mózgu. Używamy przecież jego mocy tylko w bardzo nikłym procencie; być może pozwala nam widzieć wersję uproszczoną, bo od rzeczywistej można oszaleć. Pojawiają się myśli abstrakcyjne, niespodziewane, wracające do przeszłości, czasem coś wyjaśniające, kosmiczne pomysły, idee. Myśli na wielu poziomach, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Tuż przed tym, kiedy zabierze mnie fala, czuję delikatne mrowienie na twarzy i – może zapach? Albo wyobrażenie zapachu? Kolorowe, intensywne wizje, tańczące mozaiki, fraktale i zawsze te same, rozplywające się kwiaty z okrągłymi płatkami, nachylające się nade mną. Halucynacje czy obrazy spoza świadomości? Czegoś podobnego nigdy nie

¹Ayahuasca to wywar wywołujący psychodeliczne wizje i odczucia, używany od wieków przez rdzenne ludy Amazonii w celach leczniczych i duchowych. Wywołuje intensywne wizje, zmienia postrzeganie rzeczywistości, czasu i przestrzeni. Doświadczenia te są często opisywane jako kontakt z zaświatami, mitycznymi istotami lub głęboka introspekcja, emocjonalne katharsis.

widziałam, jak więc powstały? I tylko szkoda, że one wszystkie rozbłyskują w umyśle niczym błyskawica i odchodzą tak nagle jak przyszły. Nie sposób ich złapać, zapamiętać, zapisać. Nie wiadomo jak długo trwają, bo tam, w tym innym wymiarze czas nie istnieje. I już wiem, że nie trzeba się nad tym zastanawiać, trzeba doświadczać i być. Podróż wewnątrz umysłu jest jak trans: nie chce się z niej wychodzić i wracać do rzeczywistości. Pragnie się tam zostać. W kolejnych podróżach do środka wychodzę z ciała, nie czuję go; nie ma żadnych odczuć, emocji, nie ma smutku, radości, myśli. Nie ma nic, a jednocześnie jest wszystko, co potrzebne. Istnieje się. I tyle. Słyszę muzykę, ale nie wiem, czy ona gra we mnie, czy poza mną. Czy istnieje, czy to wymysł mojego umysłu. Próbuję poruszyć ciałem, ale ono mnie nie słucha, unoszę się ponad nim i nie mam formy; wszystko jest inne niż to, do czego przywykłam. Raz jeden poleciałam tak daleko, że miałam przebłysk; to już może być druga strona... A jak to odczułam – nie wiem. Bez żadnego lęku, strachu czy obawy. Po prostu byłam. Nie osobą, nie sobą. Bytem, duchem, energią – jakkolwiek to nazwać. I kiedy wracam, za każdym razem odrobinka mnie zostaje w przestrzeni; uwalniam z siebie jakiś kawałek człowieczeństwa, codzienności, trosk, zwyczajności. Odcedza się ważne od mniej ważnego i już wiadomo, co puścić, a o co dbać. W tej podróży nauczyłam się też, że kiedy ciało boli, trzeba je ukochać, pogłaskać, zrozumieć, puścić napięcie. Wtedy przestanie boleć, bez leków, powoli, naturalnie. Bo ono jest tylko – a może i aż – moim etui do przechowywania duszy na czas ziemski. Cierpliwość, spokój, zrozumienie i ufność, że będzie tak, jak chcę, żeby było – to najlepsza z możliwych dróg.

Galopuję na białym wilku przez zielone lasy, ale nie po ziemi, nie... ja unoszę się w górze, pędzę po szczytach drzew, oglądam białe drogi, przestrzenie, przestworza. Czuję, że jestem wolna. Innym razem podróżuję w kształtach geometrycznych, jeszcze kiedy indziej wśród egzotycznych mozaik, a kolorowe kwiaty nachylają nade mną swoje kielichy. Czuję mrowienie w ciele, zapominam oddychać, czynności życiowe toczą się poza mną.

Mówią, że na wszystko w życiu jest czas; wszechświat podsuwa nam różne rzeczy i od nas zależy, czy je weźmiemy czy nie. Mnie zaoferował świat tak inny, że nie da się go opisać. Trzeba w nim być. Doświadczyć go. Poczuć. A gdy się tam jest, to nie ma ciała, nie ma ciężaru, nie ma smutku, radości, rozczarowania. Nie ma nic. A jednak jest wszystko. Jest idealnie. Jest dobrze. Jest najlepiej. I nijak się to ma to do sztywnych ram życia.

Nie chcę robić rzeczy inaczej niż chcę. Chcę robić to, co lubię, co sprawia mi przyjemność, co daje mi siłę, radość. Przynajmniej tam, gdzie mam możliwość wyboru. Bo kto wie, ile czasu zostało...

I wtedy poczułam, że zmiana zależy ode mnie. Kiedy spojrzałam na mapę marzeń, moja sekcja miłości wyglądała na monotonną i nawet mnie samej nie przekonała, że chcę pasji. Namiętności. Natomiast widać było wyraźnie fascynację drogą, podróżą. Cele podróży bliskie i dalekie. Te oczywiste i te całkiem z kapelusza. I co więcej. One się działy! Działy się solo, działy się z Miką. Zaczynałam rozumieć to, co już przecież wiedziałam: dzieje się to, co ma teraz dla mnie największą wartość, co jest ważne. Mogę sobie przyklejać, co chcę i gdzie chcę, ale rzeczy się dzieją tylko, jeśli za tym idzie pragnienie. U mnie widać było

wyraźnie granice między tym, czego pragnę całą duszą, a tym czego niby też pragnę, ale jednak nie do końca.

A czasu coraz mniej. Mika coraz starsza. Nie ma na co czekać. Trzeba iść za głosem duszy. Chcę iść za głosem duszy. I wszechświat mnie wysłuchał, jak wiele razy wcześniej. Wysłuchał mojej niemej prośby o ratunek przed systemem, wciśnięciem w ramy, kiepską kondycją fizyczną i psychiczną, stresem. Za dużo chciałam naraz. Za szybko. A potem wycofałam się w trudnym momencie, ratując część siebie. Myślałam, że łatwiej będzie zamilknąć, odejść, zniknąć. Pogubiłam się. Uciekłam. Teraz widzę, że to, co zaczęło się wtedy, musiało wybrzmieć, że potrzebowało czasu, bym zrozumiała, poukładała sobie, zdecydowała, co z tego zabiorę, a co zostawię za sobą. Dwa kroki do przodu, jeden w tył. Powoli. Tak właśnie ma być, żeby nie pogubić tego, co ważne.

Powoli dochodzę do tego, czego szukam, czego chcę, czego nie. Podążam za samą sobą.

NOWA DROGA

Rok rozpoczęłam Maltę na totalnym budzecie: tanie bilety i spanie. No i tam jeszcze nie byłam², a chciałam mieć na jej temat swoje zdanie.

Tymczasem Malta i Gozo mnie oczarowały. Nadmorskie, niewielkie miasta z wąskimi uliczkami i małymi placzkami. Białe kamieniczki z kolorowymi drzwiami i okiennicami. No i te ich wykusze, tak typowe dla maltańskiej zabudowy. Na wodzie barwne łódki, kafejki w portach. Szaleństwem jest poruszanie się autobusami po wąskich uliczkach w ruchu lewostronnym... jakbyśmy cały czas jechali na czołówkę z kierowcami z przeciwka. Nawet żałowałam, że nie zostałam dłużej. Wcześniej uwielbiałam krótkie wypady, teraz zaczęłam doceniać dłuższe pobyty.

Trafił się też wiosenny Budapeszt z mamą. Ona już знаła miasto, ale zupełnie inaczej niż ja. Więc tym razem miał być Budapeszt po mojemu. Dużo chodzenia, sporo odpoczynku. Najpierw kawa i lekkie śniadanie w New York Café. To najpiękniejsza kawiarnia w Budapeszcie, a być może również na świecie. Zupełnie jakby czas się zatrzymał gdzieś w okolicy osiemnastego wieku (choć nawet historia budynku tak daleko nie sięga...)

² O przygodzie maltańskiej pisałam więcej w „Tysiącu mil samotności”.

Księga gości świadczy o tym, że w tej kawiarni bywali też Josephine Baker, Thomas Mann i Maurice Ravel. A Ferenc Molnár pisał tam „Chłopców z Placu Broni”. Podobno.

W środku ma się wrażenie, że w każdym momencie można nagle zostać przeniesionym w czas walców, gorsetów, fiszbinów, krynolin i peruk. Wnętrze ocieka złotem, a całość dopełnia muzyka klasyczna na żywo. Kolejka do wejścia ustawia się niemal zawsze (miejscowych tam nie uświadczysz) i ceny są wysokie, ale przecież płaci się za przeżycie pięknego doświadczenia. My poszliśmy tam prosto z lotniska, z plecakami. Średnio pasowałyśmy: w tenisówkach, na sportowo, prosto z drogi. Ale przecież przychodzą tam najróżniejsi goście. Dostałyśmy dobry stolik w głównej części, rozsiadłyśmy się na spokojną kawę, kawałek sernika i poranny kieliszek tokaju.

Drugie na liście: termy. Pomyślałam, że tym razem zrobimy sobie dzień spa i poszliśmy do obu największych łaźni w mieście: do Gellerta, które ponoć najpiękniejsze i do Szechenyi, które już znam i uwielbiam, bo to kolejne budapesztańskie miejsce idealne do podróży w czasie.

Łaźnie Gellerta zlokalizowane są u podnóża Wzgórza Gellerta i na tyłach Hotelu Gellerta. Hotel był w remoncie, łaźnie natomiast rzeczywiście okazały się absolutnie zjawiskowe. Główny, najpiękniejszy basen w stylu secesyjnym, z posągami Wenus, piętrem i szklanym dachem, zwykle stoi pusty, ponieważ służy do pływania sportowego i moczyć się w nim nie można. Do moczenia, konwersacji i relaksu służą dwa inne baseny wewnętrzne o fantazyjnych kształtach, z fontannami, pięknie zdobione kolorowymi kaflami i rzezbami. Spośród

dwóch basenów zewnętrznych działał tylko jeden, mniejszy, dość zatłoczony, wobec czego wróciłyśmy do środka. Całość otoczona jest metalowym płotem, za którym widać domy, ulice i parkujące auta, co niestety burzy atmosferę i brutalnie ściąga na ziemię, do burego, zimowego świata. Kontrastowo – kiedy wchodzisz do Szechenyi, to znikasz w czasoprzestrzeni. Budynki łaźni zbudowane są na planie owalu z basenami zewnętrznymi pośrodku. Nie widać niczego poza łaźniami. Wchodzi się do innego świata – świata basenów sprzed wieków. Baseny wewnętrzne nie są tam tak zdobne i imponujące, ale nam to wcale nie przeszkadzało. Na zewnątrz dużo przestrzeni, para unosi się tajemniczo, jest taras, barek, restauracja. Można spędzić cały dzień. My pobyliłyśmy raptem parę godzin, wystarczyło.

Przemaszerowałyśmy też na Budę, gdzie – na zamku, na szczycie, odpoczęłyśmy przy kawie z widokiem na Peszt i budynek parlamentu. Odbłyłyśmy nocny rejs statkiem po Dunaju. Popołudnia to czas odpoczynku, regeneracji i słuchania podcastów. Budapeszt jest fenomenalny!

Majówka do końca była niewiadomą. Loty odpadały, bo primo: w tym czasie są drogie i secundo: dopiero wróciłam, a potem niebawem znów miałam lecieć. Zamarzył mi się *road trip*. Wymyśliłam, że pojadę autem i będę spać w bagażniku. Jak kiedyś, ten pierwszy raz. Tylko że tym razem miało być chłodno, a nawet deszczowo – tak, sprawdziłam prognozy pogody! Wychodziłam właśnie z okrutnego przeziębienia – po Malcie, którą zwiedzałyśmy na górnym piętrze autobusu bez dachu, przewiało mnie i zaprawiłam się na dobre. Pomyślałam,

że w chłodzie nie dojdę do siebie, a jeśli rzeczywiście będzie padać cały dzień lub dwa, to siedzenie w bagażniku auta nie ma sensu; za mało miejsca, żeby mniej więcej wygodnie przeżyć kilka dni. Zatem porzuciłam myśl o kempingu i wynajęłam pokój. Nad brzegiem morza, w małej miejscowości na wyspie Krk. Przedsezonowe ceny są tu korzystniejsze niż w tym samym czasie w Juracie. Sprawdziłam. Ludzi niewiele, plaże jeszcze puste, woda zimna, ale czysta i nawet prognoza pogody zapowiadająca deszcze wcale się nie sprawdziła.

Miałam ze sobą chińskie zupy w paczkach, przecier pomidorowy i mleko kokosowe. To mój stały, ulubiony i niezastąpiony zestaw wyjazdowy. Czasem zabieram jeszcze groszek lub fasolę w małej puszcze. Albo małe puszki kimchi³. To wszystko spokojnie przetrwa bez lodówki. Jeśli porządnie zgłodnieję, to mogę jeść tydzień to samo. Jednak gdybym potrzebowała urozmaicenia, mam też grzybową z papierowym makaronem. Na bogato. Wtedy nie dodaję fasoli tylko mleko kokosowe. Czasem można kupić szatkowane grzyby w puszkach na miejscu. Ale nie wszędzie. Da się żyć.

Śniadaniowo mam chleb, pomidory, oliwę i sól. To w Chorwacji zawsze podstawa. Czasem jakieś warzywa – ogórek, papryka. Na południu wszystko dojrzewa wcześniej i można się zaopatrzyć na straganach przy drodze. Nawet w lokalną oliwę i miód. Kawa – wiadomo – poranny rytuał, chociaż raczej z przyzwyczajenia niż potrzeby, bo przecież kawa instant to nie kawa, ale i tak daje radę przy wakacyjnych leniwych porankach.

³ Kimchi to koreańska kiszona kapusta pekińska.

Czasem zatrzymuję się w przydrożnej piekarni, kiedy woła mnie burek. Najpyszniejszy ze wszystkiego, co jadłam w Chorwacji: tłusciutki, słony, spory na tyle, żeby się najeść i nie mieć ochoty na więcej (o ile to możliwe), ale też nie przejeść się na śmierć, bo opcja „zostawienie na później” nie istnieje.

A potem zakotwiczam i żyję z tego, co mam ze sobą. Wygodnie, jeśli w pobliżu jest mały sklepik, ale to rzadko się zdarza. No i zwykle po prostu mi się nie chce. Ani na piechotę, ani autem. Wobec czego dobrze jest sobie policzyć, ile jedzenia potrzeba na ile dni i tego się trzymać.

Podróżowanie autem w przeciwieństwie do latania lubię dlatego, że mogę dowolnie wybierać, kiedy chcę zacząć podróż. Nie potrzebuję być na lotnisku dwie godziny przed wylotem, mogę zdecydować, kiedy chcę wyruszyć. Mogę się cofnąć, jeśli czegoś zapomniałam – co mi się nagminnie zdarza. Jest łatwiej. Łatwiej. Daje mi to poczucie możliwości wyboru.

Lubię też chwilę, w której dociera do mnie, że jestem w podróży. Tym razem była to Słowenia. Nagle drogi zrobiły się węższe, natura bardziej zielona – co było niebywale; pojawiły się drogowskazy na Maribor i Lubljanę (słoweńskie nazwy brzmią baśniowo) i poczułam wakacje, podróż, przygodę.

Stamtąd do Chorwacji to już był żabi skok.

Uwielbiam moment, kiedy zakotwiczam, przebieram się w bikini i już po prostu w nim zostaję. Zmieniam na suche, jeśli jest mokre i w takim trybie toczy się dzień za dniem. Bikini, szorty, top, sandały. Plaża, książka, kąpiel. I od nowa to samo.

NOTKI Z PODRÓŻY:

„no nie wierzę.

kiedy w końcu mogłam spakować ile wlezie i naprawdę wzięłam toniki, kremy, złuszczacze, nawilzacze, maski, olejki, witaminy, książki... no po prostu wszyściutko co trzeba, żeby sobie o siebie ładnie zadbać (nawet gacie mam) to niespodziewanie okazuje się, że tym razem nie zabrałam szczotki do zębów.

no naprawdę”.

„nie uwierzycie.

misja: szczotka do zębów.

znalazłam taki pierdalny (uczeń by tak powiedziała, tęsknię za uczeńkiem) supermarket. wino, oliwa, wafelki (na odchudzanie), jabłka, pomidory, burek (ściśła dieta), sałata.

i kiedy już wsiadłam i wyjechałam z parkingu przypominałam sobie po co przyjechałam.

no nie wierzę.

wracam”.

Jak zwykle odpaliłam aplikację randkową. Tyle ciekawych osób podróżuje... Nigdy nie wiadomo na kogo można trafić!

Tym razem umówiłam się już na kolejny dzień. Może i bym nie pojechała, bo odezwał się we mnie wielki leń, ale Lars podróżował niezwykłym kampervanem, który wyglądał na wojskowy i zatrzymał się na polu kampingowym, na którym i ja miałam rezerwację, dopóki nie zdecydowałam, że jednak tym razem za wcześniej na bagażnik. Pomyślałam więc, że pojedę i obejrzę ten super pojazd, poznam człowieka i jego historię oraz sprawdzę mój niedoszły kamping.

Pole okazało się absolutnie niesamowite, położone nieopodal cmentarza, z dala od wioski, wśród dziczy. Idealne na lato z psem, chociaż Chorwacji w planach na to lato nie miałam.

Lars z kolei okazał się ciekawym rozmówcą. Jego kamper rzeczywiście został przerobiony z pojazdu wojskowego, nie był bardzo duży, ale za to miał wysokie zawieszenie i olbrzymie koła, przez co sprawiał wrażenie olbrzymia. Kanciasty z zewnątrz, ale w środku miał wszystko jak każdy zwykły kampervan. Lars miał też ze sobą sportowy motocykl do jeżdżenia po okolicy. Ten motocykl był mały, ale ma też duży, na którym przejechał Azję i chyba jeszcze jakiś inny kontynent, ale już nie pamiętam. Opowiadał, że w drodze jest już od dwóch miesięcy i wybrał się w nią trochę w poszukiwaniu siebie. Mieszka w Amsterdamie, a właściwie mieszkał, bo niedawno sprzedał dom i nie wie do końca, co dalej. Jest w drodze. Jest właścicielem kafejki, którą może też sprzeda, jeśli pojawi się dobra oferta. Na razie prowadzi ją jego córka. Ma dwie córki, już dorosłe, więc nic go właściwie w Amsterdamie nie trzyma, a dodatkową pracę ogarnia na laptopie z miejsca, gdzie aktualnie jest. Od początku swojej podróży przejechał Portugalię, Hiszpanię, Włochy, Bałkany i teraz jest w Chorwacji. Czeka go jeszcze miesiąc w drodze i następny cel to Grecja. Fenomenalnie!

Opowiedziałam mu też trochę o sobie, a zanim się pożegnaliśmy, obiecaliśmy, że pozostaniemy w kontakcie. Potem pojechałam. I więcej się nie odezwałam.

I kiedy wczoraj myłam zęby, to mnie oświeciło: całkiem niedawno byłam na randce w Gdańsku. Poszliśmy na kolację, było wino, było miło, rozmowa płynęła i założy się, że był flirt. Naprawdę, tyle rozpoznałam – były isierki. I potem nagle zdechło. Wyszłam do toalety i kiedy wróciłam, to jakby inna osoba siedziała przy stoliku. Zmiana dosłownie z minuty na

minutę. Wyszliśmy i „do widzenia”, i „było miło”, i „dziękuję”... i poszedł, a ja cały kolejny dzień nie mogłam dojść do siebie. Co takiego się zdarzyło, że nastrój się zwarzył, uśmiech zniknął, humor wyparował? W jednym momencie wstaliśmy i wyszliśmy. Męczyło mnie to okrutnie. I nie dlatego, że gdybym wiedziała, zrobiłabym coś inaczej. Od lat na randkach jestem sobą, mówię co myślę i jeśli komuś się to nie podoba – trudno. A tu naprawdę czułam, że dobrze się bawiliśmy. A jednak coś się zdarzyło, co spowodowało zwrot akcji. I jak zwykle w takich sytuacjach – królestwo za prawdę. Co się naprawdę stało? Kiedyś nawet któregoś z nich (w podobnej sytuacji) zapytałam, a on powiedział „nie było chemii”. Mnie to jednak niewiele wyjaśnia. Mam potrzebę wiedzy konkretnej i jasnej, chociaż już wiem, że w układach damsko-męskich to nieosiągalne. Chemia czy jej brak to wymówka, która nic nie tłumaczy. A ja po prostu chciałam wiedzieć.

No i właśnie wczoraj, kiedy po powrocie szorowałam zęby nową szczotką dotarło do mnie, że ja z Larsem zrobiłam dokładnie to samo. Po miło spędzonej godzinie, uścisku na pożegnanie, a nawet po komentarzu: „zostaniemy w kontakcie”, tym razem ja zniknęłam. I gdyby mnie ktoś zapytał, dlaczego, to naprawdę nie było tam nic konkretnego. Drobiazgi, które najłatwiej byłoby podsumować „nie było chemii”. Działo się coś, czego nie umiałam określić.

Wylogowałam się z aplikacji, widząc, że sama ze sobą nie daję sobie rady i resztę poranków spędziłam czytając książki na półce skalnej przy wodzie.

Mogłabym żyć przy plaży. Rano kąpiel, żeby ostudzić ciało po nocy, potem sok lub kawa – koniecznie z książką. Potem

praca. Oczywiście musiałyby to być Chorwacja lub Włochy. Tam, gdzie niebieskie niebo, ciepło i czyste morze. I gdzie mają własne słodkie pomidory. I figi.

Tam właśnie, któregoś poranka dostałam mail od mojego wydawcy, że tekst potrzebuje korekty i redakcji. Zatem w deszczowe popołudnia miałam co robić. To właśnie tam ruszyła machina, której efektem końcowym była papierowa książka „Tysiąc Mil Samotności”. Nowe nadchodziło pełną parą. Uzupełniałam, dopisywałam, sprawdzałam. Rzeczy się działy.

A potem ruszyłam w drogę powrotną do domu.

Dobrze być w domu. Przyjechała Mika i miała ogromną potrzebę przytulasów. Leżenie na dywanie przed ekranem, oglądanie po raz setny tego samego serialu, kakao, pizza, opowieści i śmiechy.

A zaraz po majówce leciałyśmy z Miką do Paryża. Jakoś w zeszłym roku, po lecie na dzikim kacu, kiedy ledwo mogłam zebrać myśli do kupy, zaczęłyśmy wspominać koncerty, na których razem byliśmy i od niechcienia rozglądać się, co jest do wyboru. I niczego, co mogłoby nas zainteresować w najbliższej przyszłości nie było. To znaczy w Polsce niczego nie było, bo już za granicą tak. Co prawda bilety na koncert Arctic Monkeys (znałyśmy zaledwie trzy ich utwory, ale wszystkie świetne) dostępne były tylko z drugiej ręki, więc droższe niż normalnie z kasy, ale byliśmy już w pędzie i wyglądało na to, że nic nas nie powstrzyma. Dodatkowo omamiona kacem nie stawiałam żadnego oporu, a niesamowicie tanie bilety lotnicze do Paryża tylko potwierdziły słuszność naszego szaleństwa. Mika na bilet lotniczy wyłuskała swoje zaskórniaki – znaczy, zależało jej.

Później okazało się, że primo: dodali kolejny koncert następnego dnia, na który można było zwyczajnie kupić bilety w normalnej cenie w kasie i secundo: zaraz po Paryżu Monkeys przyjeżdżali na festiwal Open'er do Gdańska... Ale o tym przyrzekaliśmy sobie po prostu nie wspominać. No to poleciałyśmy. Najpierw długa przeprawa do miasta, ponieważ lądowałyśmy na Beauvais, czyli osiemdziesiąt kilometrów od Paryża (połączenie jest naprawdę wygodne, choć zabiera dużo czasu). Padało. Mika dostała misję rozpracowania metra, by dowieźć nas do hotelu. Widziałam, że pomimo początkowej udawanej obojętności paryskie metro ją oszłomiło. Mnogość linii, wygląd stacji, kolejki, wagoniki, różnorodność pasażerów. Nawet siedzenia były inaczej ustawione niż w tym, które znałyśmy. Siedziała i chłonęła. Dotychczas nie bywałyśmy w miastach z metrem. Znałyśmy jedynie to w Vancouver, które ma dwie linie i jest naziemne, więc i stacje są inne, bardziej przypominają przystanki tramwajowe. No i Warszawa, w której też są dwie zwyczajne linie. W Paryżu zastałyśmy zupełnie inny, fascynujący świat.

Mika już wcześniej zaplanowała, że koniecznie musimy iść do Luwru, a że było to jak na nią dość nietypowe życzenie, bardzo ochoczo się zgodziłam. Trzeba było się spiąć, żeby zdążyć dojść, wystać swoje w kolejce do wejścia i jeszcze mieć dość czasu, żeby co nieco zobaczyć. Bilety kupiłam wcześniej i przy okazji zorientowałam się, że Luwr będzie otwarty w dzień naszego przyjazdu, ale już nazajutrz niestety nie. Zameldowałyśmy się w hotelu i zaraz ruszyłyśmy z powrotem w miasto. Mika znalazła gdzieś filmik z instrukcją, jak dostać się do Luwru bocznym wejściem, żeby uniknąć kolejek. Dwie godziny

nam wystarczyły na spotkanie z Mona Lisą, Wenus z Milo i tłusciutkimi kupidynkami na co drugim obrazie. Mona okazała się niewielkim obrazem, jedynym w olbrzymim pomieszczeniu pomalowanym na czarno i zapchanym tłumami po brzegi. Ludzie tworzyli dwie stłoczone kolejki, podchodzili na chwilę do barierki odgradzającej obraz od reszty sali, rzucali okiem i sprawnie wychodzili, a maruderzy byli delikatnie napominani przez służby porządkowe. Nie było czasu na zadumę, spojrzenie w oczy, refleksję. Trzeba raz dwa, raz dwa, bo zwiedzających dużo, każdy chce zobaczyć, a czas ucieka... Przy Wenus było odrobinę mniej tłoczno. Poszwendaliśmy się wśród obrazów i rzeźb, pobyliśmy i wyszliśmy. To była krótka, ale treściwa wizyta.

Następnego dnia padało, więc nim dotarliśmy do wieży Eiffla, byliśmy trochę przemoczone. Zatem śniadaniowy croissant z cappuccino w pobliskiej kafejce, żeby się chwilę ogrzać i osuszyć, potem wieża widziana z tej jednej bocznej uliczki, skąd wygląda jakby wychodziła spomiędzy budynków, z Trocadéro i z powrotem do pokoju, żeby się przygotować na koncert. Poszliśmy jeszcze do bistro nieopodal hotelu, na późny lunch – francuską zupę cebulową i ślimaki. O ile zupa była dobra, o tyle ślimaki nie wzbudziły naszego entuzjazmu. Obie spróbowałyśmy, obie z odruchem wymiotnym, obie zdecydowane, że nigdy więcej. Żabich udek nie było w menu. Może to i lepiej.

Po południu na szczęście się rozpogodziło. W arenie było fantastycznie, pomimo że nawet nie wiedziałyśmy czy band, który wyszedł na scenę to support czy zespół, na który przyszłyśmy. Ale kiedy zaczęli występ to było świetnie. Niesamowicie jest słyszeć na żywo kawałki, które dotychczas grały tylko w słuchawkach.

A kolejnego dnia znów kropiło i podczas gdy ja skoczyłam sobie jeszcze do Notre-Dame, Mika została w pokoju. Pomyślałam wtedy, że cudnie jest mieć taką lekkość decydowania, gdy mimo pobytu w zupełnie wyjątkowym miejscu, nie ma konieczności zwiedzania za wszelką cenę. Jest zmęczona, pada deszcz – Paryż nie ucieknie. Wie jaki jest, może wrócić, jeśli przyjdzie jej na to ochota. A ja pomyślałam, że chciałabym pokazać jej więcej miast, bo wspólne zwiedzanie jest naprawdę fajne! I żeby mogła porównać, sprawdzić i wyrobić zdanie o tym, które miasta lubi i dlaczego.

Z takim postanowieniem wróciłyśmy do domu.

Kolejne Camino, tym razem z grupą babek. Czułam, że będzie to nowe przeżycie. I na to się cieszyłam. Już wtedy wiedziałam, jak droga zmienia ludzi. Dla mnie samej: co miało się zdarzyć – już się zdarzyło. Druga solo wyprawa dowiodła, że oświecenie nie przychodzi za każdym razem. Teraz pomyślałam, że skoro i tak pójdę – ponieważ kiedy wejdzie się na szlak, to już zawsze będzie się na niego wracać – to zbiorę grupę i ruszymy razem. Już od jakiegoś czasu chciałam się podzielić tym doświadczeniem. I rzeczywiście: zebrała się świetna grupa, poszłyśmy i wszystkie pokochały drogę równie mocno jak ja. Spałyśmy w najróżniejszych albergach, aby popробować wszystkiego po trochu. Było niesamowicie. Tak bardzo, że kolejnego lata znów zebrałam grupę. I wtedy już wiedziałam, że to moje ostatnie Camino tą trasą. Znam już każdy kąt, znam albergi, znam bary przydrożne, znam tę drogę. Kiedy coś się kończy, coś się zaczyna...

NOTKA Z PODRÓŻY:

„lubię lotniska. to takie przestrzenie inne niż wszystkie. nie ma przypadkowych osób, każdy ma jakiś konkretny cel. duch podróży unosi się, krąży i wypełnia każdy kącik. całe mnóstwo historii... słów pierwszych lub ostatnich, tajemnic, które zostaną w ukryciu. jednocześnie uczucie tymczasowości, wszystko jest na chwilę krótszą lub dłuższą, minie lub zniknie z kolejnym odlotem lub przylotem. czasem to obietnica przygody, a czasem powrotu do domu. ja tym razem wracam”.

LATO

To było upalne lato. Mika ruszyła do Kanady ze swoim tatą, ja w moja coroczną wyprawę na południe.

Chorwacja wykończyła mnie gorącem. A ja na dodatek zabrałam ze sobą psa i naprawdę nie spodziewałam się, że będą takie fale upałów. I ten biedny pies ze swoim grubym futrem... w ciągu dnia moczyliśmy się dużo i siadywaliśmy w cieniu, ale w nocy przeżywaliśmy koszmar. Zero wiatru, duchota, o zamykaniu auta nie było mowy, otwarte nie mogło być, bo pies samopas nie może chodzić, a przywiązać go nie było jak. W końcu przywiązywałam go do drzwi, tak żeby nie mógł nic wyrwać, gdyby zdarzyło mu się szarpnąć i sypiał na dworze, chociaż było tam niewiele chłodniej. Po tej wyprawie postanowiłam nie zabierać go ze sobą więcej latem w tamte rejony. Pomyślałam z nadzieją, że może kolejny rok sam przyniesie rozwiązanie.

A kiedy lato nieco się ochłodziło, wyruszyliśmy z plecakami w góry. My – dorosłe kobiety, w poszukiwaniu własnej ścieżki, spokoju, powrotu do natury, prostoty.

Od jakiegoś czasu ciągnęła nas wędrówka. Taka porządna, dłuższa. Ale nie za długa – taka, żeby najpierw sprawdzić, czy i w jakiej jesteśmy kondycji. I żeby iść przed siebie, z dobytkiem (ale bez śpiworów, bo duże) i w dziczy (we dwie będziemy bezpieczne), nie za daleko (ale też nie za blisko), bo co jeśli trzeba będzie wracać. Mówię wam, nie jest lekko sprostać

wszelakim własnym wymaganiom, a my przecież tak niewiele potrzebujemy... No to Gorce. Dobre połączenie kolejowe tam (z powrotem okazało się nieco bardziej karkołomnie – ale: ahój, przygodo!), schroniska po drodze. Spanie rezerwowałyśmy, bo nie wiedziałyśmy jakie może być obłożenie, no i miał być pokój z pościelą (nie brałyśmy śpiworów).

Pojechałyśmy. I kiedy za oknem zaczęły pojawiać się pagórki, nagle okazało się, że to już Chabówka i wysiadamy. Nie miałyśmy mapy, miałyśmy telefony. Takie czasy. Ruszyłyśmy. W Rabce zahaczyłyśmy o sklep po coś do jedzenia. Nie miałyśmy prowiantu – tym razem miało być według zasady – nie planujemy posiłków, nie myślimy naprzód, a nade wszystko – nie bierzemy jedzenia na zapas. Nie macie pojęcia jakie to było trudne! Z doświadczenia wiem, że jest tak: „zjem teraz, bo potem może nie być okazji” – a potem jest i miejsce, i okazja, i jem podwójnie. Albo: „wezmę przekąski na wszelki wypadek”, czyli po prostu jem, bo są. Nieeeee... tego za wszelką cenę chciałyśmy uniknąć!

W sklepie kupiłyśmy takie porcje, żeby zjeść trochę od razu i coś małego na „jutro na śniadanie” – jednak! Żeby nie jeść rano w schronisku, tylko wyruszyć o świcie i zjeść już na trasie. Po paczce zupy instant (gdyby w schronisku zabrakło), herbatę i saszetki z kawą.

Gdzieś za miastem w parku usiadłyśmy, zjadłyśmy posiłek i dalej w drogę. Już przez pola i lasy. Ludzi za wiele po drodze nie było; cisza, spokój, zieleń i dużo błota. Do schroniska na Maciejowej dotarłyśmy tuż przed ulewnym deszczem. Miejsce piękne, z drewnianych bali, wśród łąk, z różowymi pelargoniami

na parapetach. Kameralne. Kilka mini pokoiików, kuchnia domowa, mała jadalnia. Brak kontaktów w pokojach, za to balkonik z widokiem na góry! Cudowności!

Padliśmy. Rano kawa na balkoniku i ruszyliśmy w dalszą drogę. Tym razem miałyśmy dotrzeć do schroniska na Turbaczu. Trasa dłuższa niż poprzedniego dnia, no i szliśmy w górę, na szczyt. Po drodze mijałyśmy małe schronisko Stare Wierchy – równie urokliwe jak poprzednie. Niewielkie, na polanie, w ciszy. Mało ludzi; turyści z plecakami i bez, grzybiarze. Tam zatrzymałyśmy się na posiłek i odpoczynek. I kwaśnicę! To zupa z kiszonej kapusty, na wywarze mięsnym, często podawana z kawałem mięsa. Niestety wyprawy górskie nie są dla jaroszy... Stamtąd już prosta droga na Turbacz i wkrótce zaczęli się na trasie pojawiać ludzie: turyści, wędrowcy, spacerowicze. Czar prysł i zgodnie pomyślałyśmy, że tej trasy już powtarzać nie będziemy, trzeba poszukać jakiejś innej, odludnej. Drugi nocleg miałyśmy w schronisku na Turbaczu i to już było schronisko oldskulowe: wielkie, piętrowe, wyglądem przypominające stary szpital. Z wielką jadalnią, kuchnią, sklepikiem i mnóstwem ludzi, zostających na noc, jak i tych w drodze.

Kolejny dzień wędrówki to pola jagodowe i obóz leśnych ludzi, którzy oferowali nam schronienie w czasie ulewnego, choć krótkiego deszczu. I znów wędrowanie. Dotarliśmy na kolejny nocleg w kwaterze prywatnej, już w cywilizacji, na samym koniuszku wsi. Odpoczęłyśmy i zdecydowałyśmy, że następnego dnia damy sobie możliwość wyboru, czy przejść ostatni długi odcinek, czy podjechać kawałek, a potem iść. Rano w drodze kupiłyśmy sobie po bułce z serem – nie wiem, czy macie pojęcie,

jak smakuje świeża buła z serem, szczególnie kiedy poprzedniego dnia na kolację był banan, jogurt i zupa z paczki (tak, tak, ta sama, kupiona w Rabce pierwszego dnia). Autobusy jak to w górach – jeździły, jak im pasowało, więc może stopem? Nie czekałyśmy długo, kiedy zatrzymało się auto i zabrała nas babka, która – jak się okazało odwoziła syna na zajęcia pozaszkolne. Powiedziała, że z koleżankami często chodzą po górach w grupie i wie, jak to jest, kiedy się jest zmęczonym, z plecakiem i szuka się podwózki. Rozmawiałyśmy o tych jej babskich wyprawach, opowiadała, że wyruszają najczęściej w sobotę, idą, idą, nocują w schronisku lub u kogoś i następnego dnia wracają. W pewnym momencie powiedziała: „nawet chodzi z nami taka jedna, ona jest już stara, chyba z pięćdziesiąt lat ma, ale dobrze jej idzie”. Na co wybuchłyśmy śmiechem i oznajmiłam jej, że pięćdziesiąt to my właśnie mamy! Trochę się zdziwiła, ale w końcu uśmiełyśmy się wszystkie.

SPIS TREŚCI

ZMIANA	8
NOWA DROGA	14
LATO	27
PÓŁNOC (Kraina ognia i lodu. I owiec)	31
POWRÓT NA PÓŁNOC (Wyspy Owece)	59
W POSZUKIWANIU ZORZYPOLARNEJ (Tromsø)	82
NIESPODZIEWANA ZMIANA PLANÓW	87
ROAD TRIP PRZEZ USA	102
MIASTO ZE STALI I SZKŁA (Dubaj)	156
ZIMA	161
SPRAWY SERCOWE i tym podobne	173
STATUS QUO	181
MYKONOS (grecka randka w ciemno)	186
LATO W MIEŚCIE: Nicea i Monako	195
CHORWACJA mój raj na ziemi	202
CAMINO – pierwszy raz wybrzeżem	209
KSIĄŻKA	211
POLINEZJA FRANCUSKA z plecakami na koniec świata	216
EPILOG	284

SEDOJA